



— Oskarżony kłamie bardzo po amatorsku! Lepiej było panu wziąć adwokata. (Everybody's, Londyn)

Kosztowny prezent

Imieniny pani Sary Blumental. Jej mąż, znany skąpiec, przychodzi z próżnymi rękami, wskutek czego w domu wynika awantura. — Sza, sza! — krzyczy mąż — zamiast tu robić awantury, pomyśl lepiej, że w przyszłym roku upominek kosztował mnie kilkadziesiąt złotych. — Co, kilkadziesiąt złotych! Przecież ty mi przyniosłeś zaledwie kilo chałwy. — Tak, ale po zjedzeniu rochorowałaś się na katar żołądka i musiałem cię wysłać do Truskawki.

Piąty do brydża

Podczas partyjki brydżowej w mieszkaniu pp. Lignozenbergów wynika nagle spór, potem kłótnia. Niema mowy, aby gracie do szli do porozumienia. Ktoś proponuje zwrócenie się telefonicznie do znanego brydżysty, mecenasa Bromsilbera, który zresztą jest przyjacielem domu.

Mecenas wysłuchał uważnie, pomyślał kilka minut i rozszedł spór ku ogólnemu zadowoleniu. Ale po kilku dniach pan Lignozenberg otrzymał pocztą rachunek na 20 złotych za „udzielenie porady”. Oburzyło go to okropnie, to też nie zwiekając, zatelefonował zaraz do swego przyjaciela, również adwokata, Maurycego Szapiro.

— Niestety — orzekł prawnik — musisz zapłacić Bromsilberowi te dwadzieścia złotych. Stało się więc, że p. Lignozenberg wysłał przekaz, ale przy sposobności ulżył sobie nieco, dopisaawszy kilka słów w rubryce za-rezerwowanej na korespondencję. Jakież było jednak jego zdumienie, kiedy po tygodniu dostał drugi rachunek, tym razem od mecenasa Szapiro, również na 20 złotych za udzielenie porady.

Proście wyjście

Znany na bruku warszawskim redaktor Kuba Owski odznacza się, jak to wszystkim wiadomo, niepospolitą tuszą. Pewnego razu, będąc na raucie, redaktor zamienił kilka ostrych słów z jakimś chudym jegomościem, a ponieważ obaj byli po kilku kieliszkach, wymienili więc bilety wizytowe.

A no, stało się, trzeba strzelać. Jadą na Bielany w towarzystwie zastępców i lekarzy. Raptem, kiedy już byli na placu, jeden z sekretantów robi uwagę, że szan-

se są nierówne, bo wszak p. Kuba jest trzy razy grubszy od przeciwnika. Na to replikuje sekretant strony przeciwnej:

— Jest prosty sposób. Wyrysujemy kredą na tym panu sylwetkę pana chudego, i wszystkie kule poza tym celem będą nieważnione!

Wywiązała się dyskusja, zakończona serdecznym zbrataniem przy butelce koniaku.

Gawęda w torpedzie

W pociągu - torpedzie Warszawa — Łódź pan Maurycy Salpeterfisz nudzi się okropnie. Nie mogąc dłużej wytrzymać bez gadania, wszczyna rozmowę ze współwyznawcą.

— Czy pan też jedzie do Łodzi?

— Tak.

— A w jakiej branży pan handluje?

— Ja nie jestem kupcem, jestem odgadywaczem myśli. Zakładam się o pięć złotych i jak wygram, to biorę, a jak przegram, to płacę. Naprzykład co do pana, mogę śmiało powiedzieć, że pan jedziesz do Łodzi.

— Też sztuka! Sam to mówiłem przed chwilą.

— Tak, ale pan jedziesz po towar, żeby zapłacić weksłami, sprzedać za gotówkę i uciec do Palestyny. Czy nie zgadłem?

Pan Salpeterfisz myśli przez chwilę, nagle rzuca magikowi pięć złotych i woła:

— Bierz pan pieniądze i śledź pan cicho! Ja całkiem co inne miałem zamiar zrobić, ale pan mi poddałeś dobry pomysł!

Oszczędność

Bogaty, ale skąpy kupiec murański leży na łożu śmierci. Do koła zgromadzili się trzej jego synowie i desperują.

— Nasz biedny tata nie żyje! woła najstarszy syn. — Trzeba będzie mu wyprawić pogrzeb pierwszej klasy.

— Cyt, cyt — przerywa młodszemu z synów — nasz biedny tata miał zamiar proste i nie lubił przepychu. Uważam, że pogrzeb drugiej klasy wystarczy.

— A ja jestem pewny — odzywa się najmłodszy z potomków — że trzecia klasa będzie akurat!

Nagle konający uniósł się na posłaniu i wyszeptał:

— Sza! Nie wyrzucajcie pieniędzy. Ja pójdę pieszo na cmentarz...

U profesora

— Czego pan sobie życzy?

— Ależ, panie profesorze, pan kazał mi przyjść o godzinie piętej.

— Ach, tak! To pan znaczy jest tym węzłem na mojej chusteczce.

Gdy Barbuto przestał się krepować...

Motto: „Prosto z Mostu” ogłosiło o nowym plagiacie p. Rzymowskiego. Tym razem Barbuto (tak faszysty nazywali p. Rzymowskiego, gdy był korespondentem prasy polskiej w Włoch) „oderznął” artykuł Jean Prevost'a i wydrukował pod swoim nazwiskiem w Kurjerze Porannym.

Gdy Barbuto przejrzał poranną pocztę, pełną artykułów o nowym plagiacie, pokwał głową, wyciągnął się w fotelu i zamyslił głęboko.

— A pał was wszyscy diabli — rzekł wreszcie, wstając — kiedy tak, to przestaję się krepować. Jeszcze mnie nie znacie, wy tacy, owary. Dotychczas miarkowałem się, ale kiedyś zdarli ze mnie maskę przyzwoitości, to czekajcież.

Wziął słuchawkę telefoniczną.

— Proszę, niech tu przyjdzie sekretarz redakcji.

— Panie Słesianie — mówił po chwili — wprowadzamy w numerze dział poetycki. Ja obejmuję sam redakcję. Na trzeciej stronie. Dawno już czułem w sobie pęd do poezji, walczyłem z sobą, tłumilem to w sobie, ale teraz tak się obróciły sprawy, że mogę sobie pofolgować.

W niedzielę rano czytelnicy z przyjemnością dostrzegli w piśmie nowy dział. Z rozkoszą rzucili się czytać. Naprzód szły wiersze:

WINCENTY RZYMOWSKI

Nadświrdzanka

Jakież to żołnierz rosty i młody
Jakież to obok dziewczica
Brzegami sinej we Świdrze wody
Idą przy świetle księżycy?

Ona z pudełka mu daje pralinki
A on jej obwarzanka
Pewnie kochankiem jest tej dziewczynki
Pewnie to jego kochanka.

(D. c. n.)

WINCENTY RZYMOWSKI

Powrót wuja

Wujo nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
Pełno faszystów na drodze.

Wtem słyhać turkot. Auta jadą drogą
Auto znajome na przedzie
Skoczyły działki i krzyczą, jak mogą
Wujo, ach wujo nasz jedzie.

Wuj zahamował, łyzy radośnie leje
Z taksówki na bruk wyskakuje
„Ha jak się macie, co się u was dzieje
Czyście tęskniły do wuja?”
Ruszaćcie, wujo kolegom zawoła
Ja z dziećmi pójdę ku miastu
Idzie... aż tu faszysty obokoczą dokoła
Faszystów było dwunasto

Brody ich długie kręcone wąsiska
Wzrok dziki koszuła plugawa
Noże za pasem, granat u boku błyska
A w ręku ogromna spluwa

Krzyknęły działki do wuja przypadły
Tułaj się pod płaszcem na łonie
Truchleją wszyscy, struchlał wuj wybladły
Drżąc ku faszystom wznosił dłonie

Nie patrzy zgraja, tylko wuja tłucze
Jeden morduje, a drugi
„Evviva” krzyczy „evviva il duce”.
Zabili wuja faszystowskie slugi.



— Widz, że znowu używałeś drzwi jako działka do orzechów! (Sondagsnisse, Stokholm)

Ukarany gospodarz

Panowie Salomon Pomper i Ajzyk Turkeltaub, obaj łodzianie, wybrali się wspólnie do Warszawy. Stało na tem, że zjedzą obiad w znanej restauracji „Progress” na Muranowie, a zapłaci ten, który wyciągnie z kapelusza czarną gałkę.

Pech chciał, że ofiarą padł pan Turkeltaub, to też pan Pomper zupełnie się nie krepował i wybiegał najdroższe potrawy. Oczywiście, że taka beceremonialność niemile dotknęła jego partnera.

Kiedy podano rachunek, dość zresztą wysoki, pan Pomper chcąc udobruchać Turkeltauba, rzekł:

— Już się stało — zawołał Turkeltaub — los go ukarał, bo schowałem dwie platerowane tyłki do kieszeni,

Nie dał się skusić

Przechodząc ulicą Franciszką, pan Moryc Wajnsztok ujrzał w oknie szóstego piętra twarz swego śmiertelnego wroga, Mozesmana. Zatrzymał się, popatrzył chwilę i krzyknął:

— Ty, Mozesman, jeżdż no tu na dół, dostaniesz cztery razy w zęby!

A na to wróg:
— Niema głupich! Choćbyś ty mi dwa razy tyle obiecywał, to ja i tak nie zejść!

Turysta

— Zazdroszczę ci tej podróży do Rzymu. Będiesz mógł obejrzeć Kapitol.

— Za pozwoleniem. Nie po to jadę do Włoch, aby oglądać kine-

WINCENTY RZYMOWSKI

Mój testament

Zylem z wami, pisałem i walczyłem z wami, Nigdy mi postępować nie był obojętny
Dziś was rzucam i dalej idę w cień, z duchami
A jak gdyby tu szczęście było, idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje Wincenty, jako błyskawica,
I będzie, jak nazwisko, trwać przez pokolenia.

Potem był początek noweli p. t. „Anielka”, a potem również początek powieści, zaczynającej się od słów:

— „Petroniusz obudził się zaledwie około południa, i jak zwykle, zmęczony bardzo. Od pewnego czasu zdrowie jego poczęło się psuć. Sam mówił, że rankami nudzi się, jakby zdrętwiały i bez możliwości zebrania myśli. Ale poranna kąpiel etc. etc.”.

Dodatek poetycki zrobił furorę. Czytelnicy dobijali się o numery, nakład pisma wzrósł, a sława poety rozeszła się szeroko poza granice kraju.

Gdy w kilka tygodni potem przybyła do redakcji delegacja narodu, aby wręczyć Barbutowi wieniec wawrzynowy, sławny poeta pakował kufry.

— Dokąd Mistrz jedzie? — spytał z lękiem.
— Poezja to dla mnie mało. Teraz biorę się do dramatu. Jadę do Anglii. Napisać Hamleta.

STOP.

W ŚREDNI OWIECZU



— Drugim razem, gdy będziesz oblewał zwycięstwo nad smokiem, bądź łaskaw, wracając, zdjąć ostrogi. (London Opinion)

Zachwyty i wątpliwość

Pewien misjonarz amerykański, przedstawiciel sekty metodystów, starał się wprawić Chińczyka w zachwyt. Działal, rzecz zrozumiałą, w sposób przyjęty w Stanach Zjednoczonych.

— Czy widzisz ten samolot? — spytał.

— Nic nadzwyczajnego — odrzekł Chińczyk — jest to latawiec z siedzącym w nim cudzoziemcem.

— Nie wyrażaj się źle o cudzoziemcach, bo gdyby nie oni, któż budowałby wam koleje żelazne?

Gdyby nie było cudzoziemców — rzekł Chińczyk — zbyteczne byłoby i koleje.

Debiut w redakcji

We wszystkich redakcjach świata istnieje zwyczaj dyktowania nazwisk przez telefon przy pomocy najprostszego klucza. Aby odbierający nie przekreślał, nadawca wymienia kolejno imiona męskie i żeńskie, których pierwsze litery tworzą dane nazwisko. Naprzykład „Kohn” dyktuje się „Karol, Olga, Henryk, Natalia”.

— Czy kolega umie przyjmować telefony? — pyta przybyśza redaktor. — Bo jeżeli tak, to proszę do kabiny. Za kilka minut będzie mówił nasz korespondent z Wiednia.

— Owszem, znam się na telefonie.

I młody praktykant zamyka się w ciasnym pokoiku. Siedzi tam wyjątkowo długo, wreszcie wychodzi zziębnięty i spocny. Podaje redaktorowi ćwiartkę papieru:

— O, proszę — mówi — ten facet dostał dziś dymisję, podobno jakiś książę, czy coś takiego...

Redaktor zaczyna czytać, o czym nie wierzy: „Dziś otrzymał dymisję książę Stanisław, Teodor, Adam, Rozalja, Henryk, Emil, Marian, Bolesław, Emil, Rozalja, Gustaw”.

W redakcji sensacja, zbiegają się współpracownicy, debatują i dochodzą do wniosku, że dymisję dostał książę Starhemberg.

— Panie kolego — woła redaktor — trzeba było tak od razu napisać.

— Właśnie, właśnie, panie redaktorze — kotuje młody człowiek — ja chciałem, ale mnie

uderzyło, że ten książę ma dwi-razy na imię Emil i dwa razy Rozalja.

Cenny współpracownik

To było jeszcze w czasach przedwojennych. Na tarasie kawiarni w Paryżu spotkali się dwaj przyjaciele: Stefan Lauzanne, redaktor dziennika „Matin” i Artur Meunier, redaktor brukselskiej „Indépendance”.

— Coś się zmieniło w twojej gazecie — zrobił uwagę paryżanin. — Dawniej czytywałem tam ciekawe artykuły ekonomiczne i polityczne, podpisywane „Civilis”. Od kilku tygodni podpis ten nie ukazuje się więcej. A szkoda. — Tak, szkoda — westchnął Meunier.

— Należało utrzymać owego współpracownika za wszelką cenę.

— Staralem się, ale bez powodzenia. Zmienił zajęcie.

— Czymże jest teraz?

— Albertem Pierwszym, królem Belgów.

Tak samo

Do urzędu przychodzi chłop w kapeluszu.

Urzędnik: — Hej, ojczulku, czy nie wiesz, jak się przychodzi do biura?

— Pewnie wiem, kiedy przy- szedłem.

— A skąd to?

— Z Ryczywołu.

— Ale kapelusz, ojczulku, ka-

pelusz... — Kapelusz też z Ryczywołu.



Nowi grandowie hiszpańscy. (Il Travaso delle Idee)



— A więc jutro wleczór, punkt ósma, dajemy dęba.
— Niemożliwe.
— Czemu? Czy jesteś skutny?
— Nie. Jestem dozorcą.

(Marc Aurelio, Rzym)